№ 12. Piątek, dnia 18 Grudnia 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 6 (18) grudnia 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —
kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

W WOLNYCH GODZINACH.

Praca to życie.

Niewiele można naliczyć jednostek, które są wolne od pracy. Takie indywidua należą do wyjątków. Jest tylko ta różnica, że jedni pracują więcej, drudzy mniej, jedni fizycznie inni umysłowo; ale każdy prawie jest atomem tego ogromnego motoru, który całą ludzkość porusza, to jest, że każdy niemal dorzuca swój trud, do ogólnéj i nieustannej pracy społeczeństwa.

Że jednak człowiek nie jest tak wytrzymałym, aby mógł całe życie bezustannym poświęcić zajęciom, miewa przeto chwile wytchnienia i odpoczynku,—chwile wczasu, w których nabiera sił do dalszej pracy i trudów.

Jest to koniecznem i nieuniknionem. Sama nawet przyroda, ta odwieczna, Wyższą dłonią kierowana maszyna, miewa także momenty jeżeli nie bezwzględnego spoczynku (gdyż ten nie istnieje w naturze) — to przynajmniej momenty wytchnienia, czas przeznaczony na wzmocnienie się i nabranie sił.

Ziemia, karmicielka nasza, zieleni się z wiosną, oddaje nam swoje plony w jesieni, a potem układa się do zimowego spoczynku, aby nam za rok, zwykłą koleją rzeczy, świeże przyniosła owoce.

Tak samo i człowiek, ten mały światek, potrzebuje chwil wytchnienia, a potrzeba ta, leżąca w jego naturze, wynikająca z konieczności praw przyrodzonych, domaga się zaspokojenia.

Tak więc każdy z pracujących musi mieć koniecznie chwile wolne. Kto pracuje więcej, ten naturalnie ma mniej chwil podobnych, a odwrotnie ludziom mało pracującym dostaje się w udziale porządna doza odpoczynku.

Że zaś człowiek ma w sobie dwie strony, to jest fizyczną i umysłową, które jakkolwiek silnym połączone węzłem, mają jednakże swoje odrębne sfery działania; przeto rzeczą jest bardzo naturalną, że każdy pracujący umysłowo, szuka ruchu i ćwiczeń fizycznych; — człowiek zaś pracujący fizycznie, którego umysł, biorąc względnie, w większym nierównie pozostaje spokoju, powinienby szukać ćwiczeń umysłowych, powinienby poruszyć swój mózg nie strudzony i nie wysilony pracą.

Kto przesiedzi dzień cały przy biórku, radby użyć ruchu, przechadzki, chciałby rozprostować krzyż zgięty nieustannie — przeciwnie zaś pracownik, który przez dzień cały kuje młotem w warsztacie, dąży do tego, aby w wolnej chwili spocząć w całem znaczeniu tego wyrazu.

Mamy właśnie na celu pomówić dziś trochę o spoczynku, o chwilach wolnych, które każdy cenić i których rozsądnie używać powinien.

Słowo nasze dotyczy owej licznej klasy ludzi, której twarda dłoń losu bardzo skąpo udzieliła spoczynku; mówić chcemy o tych, którzy dzień cały przykuci do warsztatu, zaledwie w święto mogą porzucić swoje zajęcie i użyć czasu dla siebie.

A niestety, widzimy iż owi właśnie ludzie, najniewłaściwiej używają tych skąpo udzielonych im godzin, i zamiast przepędzać je tak jakby należało, obracają je bezmyślnie na niekorzyść własną, zaludniając bawarye i dusząc się w dymie tytoniowym. Dla rzemieślnika, niedziela, to dzień o którym on marzy cały tydzień. Niedziela, to wyraz, w którym się mieści jego rozrywka, swoboda i zabawa.

On kując przez dzień cały, marzy tylko o tych chwilach swobodnych, kiedy wyrwawszy się z zadymionych ścian pracowni pobiegnie szukać w mieście wesołości i rozrywki, Latem, nęci go Saska Kępa—Czerniaków i różne tym podobne wycieczki — w zimie idzie do jakiejś traktyerni, tam szuka towarzystwa i rozrywki.

Dalecy jesteśmy od tego, abyśmy mieli wymagać od rzemieślnika, iżby całą niedzielę przepędził nad książką. Nie myślimy wcale potępiać letnich wycieczek, o ile naturalnie nie będą w ścisłym związku z przyjemnością *spirytualną*. Bo któż ma prawo odmawiać mieszkańcowi miasta odrobiny świeżego powietrza, którego w zacieśnionych murach braknie.

Ale chcielibyśmy wyprosić chociaż parę godzin z niedzieli na przeczytanie jakiejś książki, na rozejrzenie się w koło siebie, zastanowienie nad tem kto jesteśmy, poco żyjemy, co nas otacza dokoła.

Sposobności potemu nie zbraknie. Wydawnictwa popularne krzewią się coraz więcej; wychodzi gazeta specyalnie dla klasy rzemieślniczej pisząca — wychodzi pisemko ludowe, które może być bardzo stosownem i pożytecznem dla młodych pracowników fabryk i warsztatów.

Panu majstrowi nie uczyniłoby wielkiego uszczerbku w dochodach, nabycie jakiej pożytecznej i trafnie wybranej książki i broszurki. A wieczór niedzielny spędzony nad książką, rozjaśniłby cokolwiek w głowach młodym ludziom fizycznej poświęconym pracy. Dziś zajrzeć do warsztatów, posłuchać rozmowy tej młodej gromadki terminatorów i czeladników nawet, to aż się serce ściska patrząc na ich grubą nieświadomość.

I cóż tu dziwnego, że tacy ludzie, obojętni są na wszystkie szlachetniejsze rozrywki; że nie potrafią zużytkować porządnie tych nielicznych godzin, które im od ciężkiej pozostają pracy.

Jakże mają zasmakować w książce i czytaniu, kiedy prawie nigdy nie zdarzy im się spotkać z drukiem.

A jednak, jedno pismo peryodyczne czytywane w warsztacie, jużby w pewnym stopniu wywarło pożądaną reakcyą. Nauczyłoby zastanawiania się, myślenia i rozwagi. Wskazałoby im, że poza kuźnią lub fabryką istnieje jeszcze świat inny, do którego człowiek całą duszą dążyć powinien.

Czyż ta kwestya nie powinna zwrócić na siebie uwagi porządnych i rozsądnych majstrów, kierowników tej młodzieży? Czyż nie powinna stanąć przed nami myśl, jaka stąd korzyść dla społeczeństwa całego może wyniknąć. Podnieśliśmy głos w tej sprawie z uwagi, że już nadchodzi pora popularnych odczytów, że te odczyty właściwie li tylko dla klasy rzemieślniczej są przeznaczone — że ludzie kochający społeczeństwo i znający zarazem jego potrzeby, czują to smutne położenie, w jakiem się nasi pracownicy pod względem umysłowym, znajdują.

W zeszłym roku, odczyty przyniosły dobre owoce — ależ, dwanaście odczytów, to zamały środek dla osiągnięcia tak upragnionego celu, podniesienia poziomu inteligencyi rzemieślnika.

Tu potrzeba więcej, potrzeba poparcia ze strony starszych, przewodniczących rękodzielniami. Zdaje się, że grzechem byłoby wątpić, iż na nadchodzące odczyty sala przepełnioną będzie przez słuchaczów. Jesteśmy prawie pewni, że każdy majster chętnie tam przyprowadzi swoję czeladkę, nie żałując drobnej, prawie nic nieznaczącej opłaty.

Terminator, czeladnik, będzie się zastanawiał nad tem co usłyszy, młody jego umysł zasmakuje w tej wiedzy, która jest obcą dla niego dotychczas. Sam później będzie szukał książki, a gdy przyjdzie godzina spoczynku przyjemnie mu będzie zadowolić rozbudzoną ciekawość. Dowie się przynajmniej o tem co go otacza; spotka się z wyrazem potrzeb i dążności społecznych; wyrobi w sobie wyższe poczucie moralności, pozna wartość pieniędzy, nauczy się oszczędności i zapobiegania na przyszłość.

A poświęcając w wolnych chwilach czas pe-

wien na czytanie i zastanawianie się nad tem, wyjaśni sobie wiele kwestyi, które jak dotąd, były przed nim okryte tajemniczą zasłoną.

Odczyty popularne, to fakt zaiste niemałej doniosłości, trzeba więc z niego korzystać, trzeba zachęcać młódź warsztatową, by na nie uczęszczała. Ziarna tam rzucone, mogą przynieść z czasem bardzo dobre i pożyteczne owoce.

Można być pewnym, że niejeden z młodych słuchaczy zachęci się do szachetniejszych rozrywek, a wtenczas godziny wolne będą dla niego jeszcze milsze, bo zasmakowawszy w czytaniu, oprócz fizycznego wypoczynku, nabrania sił do dalszej pracy, znajdzie korzyść i to korzyść ogromną i bogatą w dobre następstwa.

Sam wtenczas pozna, że nietylko *w mieście* można czas przyjemnie przepędzać; ale i w domu w swojem kółku domowem, godziny zbiegną szybko i niepostrzeżenie, na czytaniu, rozmowie poważniejszej i wymianie zdań w kwestyach obchodzących dobrze myślącą społeczność.

Przy takiem pojmowaniu rzeczy przez klasę rzemieślniczą wolne godziny będą zacnie i pożytecznie użyte.

PO CZYTANIU.

(z **Musseta**).

Piękną jest twoja książka, bo kochać nam każe,
W pośród gadułów, których mnożą dziś drukarze,
Wielkich imion nieznanych, których tu tak dużo,
I wrzawy, co dla czystej myśli jest kałużą,
Jakże miło pomarzyć, zanim ją rzucicie,
Nad dziełem—skąd dla duszy nowe płynie życie.

* * *

Czyli znasz ją Elżbietko lub ty margrabino?
Płci nadobna i pusta, wasz wdzięk nam podnietą
Dla was po wszystkie czasy słoukie rymy płyną
Z lutni biednego gapia, co go zwą poetą,
Do was po wszystkie czasy jego muza wzdycha;
Dumna lub zawiedziona—marząca i cicha.

* * *

Powiedzcie proszę sami, co nam dadzą kiedy—
Nam mówię, rymotwórcom, których całą sprawą
Jest szykować wyrazy, by zapomieć biedy—
Co nam dadzą świstania, wrzaski albo brawo?
Śpiewamy całe życie, jaką jest pociechą
Jeśli puste na ziemi odpowie nam echo?

* * *

Ale cóż znaczy sława, cóż znaczą pokłony,
Jaką zmarłemu pomoc kadzidło okaże,
Cóż, że tam student jaki mniej więcej uczony
Pokłonem uczuci twoje niegdy kałamarze,
Albo się przed popiersia martwą skłoni bryłą?
Niczem jest być wielbionym—kochanym być miło!

* * *

Niech żyje stara miłość, niechaj żyje karta,
Którą w gaju czytała kobieta kochana,
Śliczny paluszek, którym książka jest rozdarta!
Na który płynie woda ze złotego krana,
Poemat łzami pięknej królowej oblany...
Niech nudni moraliści łbem biją o ściany.

* * *

Ho, ho powie kto może, rzecz nieco wątpliwa—
Czy tak łatwo rymować, nato nie pozwolę,
By po latach tak wielu przepędzonych wszkole,
Gdy synowi piętnaście lat pracy upływa,
Jedynym jego sędzią miały być kobiety!
Bardzo nad tem boleję—lecz tak jest niestety.

* * *

Kobiety, sam przyznaję, mają umysł słaby,
Głośno to się nie mówi—bo prawdy nie znoszą,
Nieszczerość nawet dla nich pewne ma powaby—
Choć większą szczerze próżność dla nich jest rozkoszą
Niekiedy i złość brzydka wich serduszkach gości—
Ale cóż nato począć?.. Mają czar piękności!..

* * *

Piękność wszystkiem na świecie; macie to w Platonie
Że piękność tu na ziemi najwyższą jest rzeczą.
Byśmy widzieć ją mogli światłość dzienna płonie;
Piękno tylko jest prawdą—inni temu przeczą.
A ja im odpowiadam—nie jestem bluźnierca—
Że piękność tylko prawdą przemawia do serca.

* * *

Kiedy słońce zaczęło pierwszą drogę Feba
I spojrzało na ziemi niedokładne dzieła,
Przyszło największe dobro, jakie dały nieba:
Piękno zrodziło miłość! z niej się zgodność wszczęła,
Z jej boskiego promienia powstało natchnienie.
Margot więc miała słuszność... ja—zdania nie zmienię.

* * *

A jeśli mam być szczerym, powiem więcej jeszcze
I moja poetyka—jeśli dać ją mogę,
Wskaże dla natchnień wieszczych, najprawdziwszą (drogę.
Niedość jest, że nektarem uczuć duszę pieszczę;
Jeśli na Helikonie stanę kiedy z mową:
„Trzeba zerwać z rozumem!" będzie pierwsze słowo.

* * *

Kto nie potrafił nigdy, kiedy zefir słodki
Wzdychał w gęstwinie lasów i szerzył swe żale,
Pójść samotny, bez celu, nucąc lube zwrotki,
Obłąkany jak biedna Ofelia w szale,
Jak paź, którego miłość czułą wróżkę wzrusza,
Bijacy jak w bębenek w denko kapelusza.

* * *

Kto nie widział w swem życiu, jak w zorzy rumianej
Jego cień ubóstwiony po niebiosach płynie,
Kto nie słyszy,—jak czasem o nocnej godzinie
Błąka się koło niego jaki duch kochany...
W szmerze chłodnej krynicy nie słyszy zapewne,
Jak go zwą przyjacielem jakieś głosy rzewne.

* * *

Kto z serca nie ukochał wszystkiego wokoło,
Kto za największe szczęście—życia cel jedyny,
Nie ma oprzeć rozkosznie rozmarzone czoło
Na świeżej,białej skroni nadobnej dziewczyny,
I wonią jej warkoczy, gdy myśli zagłuszy,
Czuć jak piękno i życie zstąpują do duszy—

* * *

Kto niedoznawał nigdy—co to letnią nocą,
Kiedy z miłości Wenus gwiazda blado płonie,
Zerwać się z łoża boso, sam niewiedzieć poco—
I ku nieskończoności wznosząc drżące dłonie—
Biegać, modlić się—płakać łzami gorącemi
Nad braćmi, co tam może cierpią gdzie na ziemi;

* * *

Taki niech składa wiersze, niech pisze i maże
Łata szych co go ludzie zowią antytezą,
Póki go do mogiły wreszcie nie zawiezą;
Tacy, choć ich na barkach niosą na cmentarze,
Choć im często tłum głupców pochodniami świeci...
Są może wielcy ludzie—ale nie poeci.

* * *

Doprawdy brzydka to jest rasa między nami
Trutniów i naśladowców—są to niby tacy,
Co służąc przy teatrze chcą być aktorami.
Szydzi z nich Arystofan, śmieje się Horacy—
Lecz nędzny wierszokleta największy wstręt budzi:
Kto liczy wiersz na palcach jest ostatnim z ludzi,

* * *

Bo powiedzcie: co może więcej przejąć zgrozą,
Jak kłopot niemądrego, co chce zrec słów parę,
A skleić mu je trudno—bo nie pisze prozą?
Jeśli źle piszę wiersze, jeśli chybiam miarę—
Piszę tak, jak rzecz sama z myśli mej wynika,
I obcą mi jest przytem wszelka gramatyka

* * *

Nie wiem czy jest rzemiosło bardziej niskie, płoche,
Bardziej poniżające dla ludzkiego ducha—
By serce—jak psa, co go wiążą do łańcucha—
Męczyć, ażeby z niego łez wycisnąć trochę...,
Czy może być straszniejsza dla myśli okowa,
Jak zamiast dwóch powiedzieć koniecznie trzy słowa.

* * *

Ty, coś miał serce wielkie, rozdarte na ćwierci,
Jeśli—by zrobić zwrótkę bardziej dźwięczną, miłą—
Trzeba, ażeby z myśli twojej coś ubyło—
O biedny Leopardi—ty kochanku śmierci,
Którego kraj przedwczesną opłakuje trumnę
Co rzekłoby twe serce spokojne i dumne?

* * *

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Nowościami scenicznemi było wystawienie w zeszłym tygodniu w Teatrze Rozmaitości obrazka dramatycznego w 1 akcie E. Manuel'a p. t. *Nieobecny*, przełożonego pięknym wierszem przez panią S. Duchińską, — i wznowienie w Wielkim Teatrze dramatu Scribe'go „*Adriana Lecouvreur*".

Jakie założenie miał p. E. Manuel pisząc swój dramatyczny obrazek, na to inni już recenzenci i sprawozdawcy, każdy po swojemu, odpowiedzieli. Zgody w tych odpowiedziach nie było, chyba w tem, że wszyscy uznali *Nieobecnego* za słabszy utwór od dramaciku tegoż samego autora p. t. *Robotnicy*, bo też tak jest w istocie. Nie można jednak powiedzieć że *Nieobecny* jest dziełem bez wartości i że wystawienie tego obrazka przynosi ujmę repertuarowi. Niemożna także pominąć wybornej gry artystów. Pan Królikowski z trudnej i niewdzięcznej roli *Jumelin'a* stworzył przepyszną konsekwenetną postać zakamieniałego pozornie starca, w którym miłość rodzicielska, tęsknota za nieobecnym, marnotrawnym synem, może nawet chęć przebaczenia mu i przyciśnięcia go do ojcowskiej piersi, toczą bolesną walkę z zasadą nieugiętej sprawiedliwości długo biorącej nad niemi górę. Pani Niewiarowska była prawdziwym wyrazem przebaczenia miłości i rozpaczy macierzyńskiej; pani Borkowska relę wdowy po marnotrawnym synu, którego przywróciła na drogę obowiązku i pracy, oddała z godnością i głębokiem uczuciem; pan Rapacki odtworzył postać lekarza, wieśniaka z prawdą i siłą — nareszcie mała Albertynka jako Jędruś, zyskała głośny aplauz. —Cały dramacik zwłaszcza z początku jest nastroju zbyt płaczliwego, na coby jeszcze więcej żalić się wypadało, gdyby do łkającej z położenia rzeczy matki przyłożyła się równa ilość łez synowej. Tymczasem umiejętna gra artystki, potrafiła bez ujmy wdowiej boleści, zmodyfikować łzawość, trafnością traktowania roli;—tym sposobem ckliwość ustąpiła miejsca zajęciu aż do ostatnich, silniejszych scen, oddanych dzielnie przez panów Królikowskiego i Rapackiego.

W Adrianie Lecouvreur, której tytułowa rola należy do celniejszych kreacyi pani Modrzejewskiej,—pan Leszczyński wystąpił w roli *Maurycego Saskiego*. Jest to rola mniej wdzięczna aniżeli trudna — artysta wyw iązał się z niej wzorowo, łącząc prostotę i elegancyę do prawdziwie dzielnej postaci. Pan Grubiński jako *de Chazeuil*, był wcale dobry, chociaż nie zgadzamy się z artystą ani na kostium, jakiego użył, ani na zewnętrzną charakterystykę twarzy; pan G. nie pamiętał że to ma być *abbé* de Chazeuil.

Nie spotkaliśmy się dotąd z wykazem funduszu, jaki corocznie użytym bywa na zakupienie zabawek na podarki gwiazdkowe. Cyfra ta, sądzimy, byłaby dość pokaźna, bo dotąd praktykuje się u nas zwyczaj obdarzania dzieci drogo kosztującemi zabawkami, które w krótkim czasie zepsute tracą dla dzieci powab i w jakimś kącie bezużytecznie spoczywają. Uważamy, że zwyczaj ten nie ma rozumnej podstawy; jeżeli już chcemy udarować nasze

Taka była powaga i męskość twej duszy,
Taka miłość dla prawdy czystej i surowej,
Że pomimo miękkości twej italskiej mowy—
Ani cię jej dźwięk słodki—ani rym nie wzruszy,
Aby na twej cierpiącej i żałosnej lutni
Hymn wolności i bólu śpiewać jak najsmutniej

* * *

A jednak czuć tam wszędzie jakąś nutę boską—
To miłość dla Neryny, jej głosu słodycze...
Pod jej jasnem spojrzeniem bladło ci oblicze,
Tyś ją nazywał zawsze„ twoją wieczną troską"..
Niestety! u stóp wzgórza jej to chatka biała
Stoi wdali samotna—przy tobie skonała!

* * *

I ty umarłeś... Z duszą bolejącą srodze,
Nie skarżąc się na losy, cichy i bez zmazy
Zawsze śpiewając szedłeś po samotnej drodze,
Przyszła godzina, którąś wzywał tyle razy,
Ani cię bojaźń zdjęła—ni smutki dręczyły
I zstąpiłeś nareście w luby cień mogiły.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Powrót do gniazda, powieść z podań XVI wieku przez J. I. Kraszewskiego.

(*Warszawa 1874 r. nakł. Gebethnera i Wolffa str. 386*).

Niepospolity nasz powieściopisarz w roku bieżącym obdarzył nas nową pracą.

Ukazała się ona najprzód w szpaltach *Kroniki Rodzinnej*, później zaś w przedruku, nakładem znanej księgarni Gebethnera i Wolffa.

Rzecz się zaczyna w starem niemieckiem mieście Wittenberdze, którego obraz spotykamy na wstępie utworu. Przedstawia się nam ten średniowieczny germański grodek ze szczytami domostw gotyckich i kościołów, basztami i murami i zapowiada powieść historyczną. W samej rzeczy jeżeli w *Powrocie do gniazda* nie spotykamy postaci znanych z dziejów, to odległa epoka, na tle której autor stosunki ówczesne rozwija pozwala zamieścić utwór ten, jeśli nie w dziale powieści historycznej, to przynajmniej historyczno obyczajowej — jakkolwiek wiele utworów nierównie niższej pod względem dziejowym wartości, krytyka nasza do powieści historycznych zalicza.

Śliczna Niemeczka z niebieskiemi oczkami, warkoczami płowych włosów, spadającemi na jej utoczone ramiona, w czarnej sukience, u pasa z torebką nabijaną złotem, stojąca przed wielkiem w szklanych ramach staroświeckiem zwierciedłem, smutna i zamyślona zaraz na wstępie utworu robi na nas idealne i pełne uroku wrażenie.

Jestto bohaterka powieści, córka bogatego złotnika, zaledwie piętnastoletnie dziwnej urody dziewczę—autor nazywa ją lilijką.

W studenckiej gospodzie pod „złotym gołębiem" grzmi pieśń burszów „Gaudeamus igitur." Z tej to gospody wyszedł młodzieniec w aksamitnej czapeczce z piórkiem i podpierając się na bogatej krzywej szabli dążył ku domowi złotnika. Był to Janusz Rochita, syn wojewody zamieszkałego w gnieździe rodowem Rochowie na Wielkopolsce. Młody Rochita od trzech lat przebywa za granicą, a od roku z górą w Witemberdze. Miał już wprawdzie listy wzywające go do domu, ale on rad by tu dłużej pozostać w miejscu, w którem raz pierszy pokochał całą siłą młodzieńczego uczucia. Przedmiotem tego sentymentu, jak łatwo się domyśleć jest piękna córka złotnika.

Janusz mieszka w jego domu i z rodziną siada do stołu, ze swego mieszkania widzieć może stojącą w oknie uroczą postać dziewczęcia.

Nietylko jednak serce zostawi młodzieniec w Germanii ale i wiarę ojcow... Następny list wojewody nakazuje mu powracać natychmiast do kraju: „po odebraniu pisania naszego we 24 godzin masz waszmość być w drodze, nigdzie po miastach i gospodach nie spoczywać „sub benedictione et obedientia."

Na pierwszej schadzce, gdzie raz ostatni widzieć się mieli, Fryda upuściła pierścionek kosztowny, Janusz podniósł i podał go z galanteryą — dziewczę się cofnęło, chłopiec zerwał z palca pierścień prosty z herbem Rochitów rytym na kwawniku, i dał go wzamian kochance ale dar ten na żadnym z drobnych paluszków utrzymać się nie mógł. „Wasz drogi pierścień rodowy, rzekło dziewczę, jakże mi powiada wiele, jam zamała, abym chodzić w nim mogła! jakże to straszna wróżba!" „Ja mój będę nosił na piersiach, jak u nas relikwie noszą i świętości," mówił zmięszany Janusz;—z frendzli od płaszczyka dzieweczka zrobiła na prędce długi sznurek, pierścienie zawiesili kochankowie na szyi. Fryda zarumieniła się czując jak chłodny pierścień wrzucony za gors spadł na piersi... Zaprawdę chcąc odmalować taki piękny erotyczny obrazek, trzeba było cofnąć się w wieki ubiegłe; powieść idzie za życiem, utwory na współczesnych osnute stosunkach coraz uboższe są w podobne efekty, a jeśli autorowie probują zdobić niemi swoje opowiadania, sceny takie sztucznie jakoś wyglądają na tle naszej epoki.

Kiedy Janusz wszedł do studenckiej gospody aby się z kolegami pożegnać: „Vivat palatenides noster" — zawołano podnosząc kufle do góry. I wojewodzic też wznosi toast na cześć wszystkich uczciwych i rozumnych ludzi i dobrych przyjaciół a wreszcie i ogniska światła, w którem się nauczył myśleć... To światło—to luteranizm. Koledzy obowiązują Janusza, aby je siał i w swoim kraju, jeden z nich nawet zabiera się razem do Polski, gdzie chce być apostołem nowej wiary, choćby miał to męczeństwem przypłacić. Bohater nasz tedy po latach miłej swobody i niezależności, jakiej używał na obczyznie pełen wspomnień pohulanek z kolegami, uroczych wieczorów spędzanych przy dźwięku gitary i piosnkach kochanki powraca do półdzikiej w porównaniu z zachodniemi krajami ojczyzny, pod rygor surowej i nieubłaganej władzy ojcowskiej.

Piękny nam daje autor obraz polskiej rycerskiej siedziby, w owym Rochowie, gdzie zamieszkuje ojciec Janusza. Jakże ponurym musiał się wydać młodzieńcowi ten stary murowany dworzec, nazwany zamkiem dla baszt jakie go otaczały i obronnych murów w porównaniu z pięknemi gmachami, jakie widział na zachodzie; jakże posępnem wydało mu się wnętrze pełne pozawieszanych na wapnem bielonych ścianach, zbroi i oręży. Władza ojcowska dała mu się uczuć odrazu z całą swoją surowością — dla upokorzenia rozbujałego na swobodzie chłopca, wojewoda wyznaczył mu na mieszkanie dwie ponure i wilgotne izby w bramie wjazdowej. Po surowości tej nastąpiła srogość, kiedy nazajutrz z rozkazu ojcowskiego młodzieńca zamknięto w więzieniu. Zrana bowiem cała czeladź zamkowa zebrana w domowej kaplicy, na mszy dziękczynnej za powrót wojewodzica, z trwogą ujrzała miejsce za ojcem gdzie stanąć powinien był Janusz, próżnem aż do końca ofiary; przy wyjściu z kaplicy wylękniona matka tłómaczyła syna chorobą, „daj Boże by chorym był a nie występnym" — rzekł wojewoda i poszedł ku bramie wjazdowej. Janusz pamiętny przyrzeczeń jakie dał kolegom i samemu sobie opuszczając kraje niemieckie, że wytrwa w nowej lepszej wierze, jakiej się tam nauczył, pognębiony zrazu majestatem władzy ojcowskiej, teraz zebrawszy całą odwagę, na zapytanie: dlaczego nie poszedł do kaplicy? odpowiedział, że nauczył się modlić inaczej, a do modlitwy przed obrazami ręką człowieka stworzonemi ma wstręt i odrazę...

Wojewoda zbladł i zatrząsł się, syn zeznawał się kacerzem—tak wówczas prawowierni nazywali heretyków—pobiegł do okna i wiel-

---

dziatki zabawką, możemy to uczynić mniejszym kosztem, kupując *np.* lalkę klika złotych kosztującą w miejsce kilku lub kilkunastorublowych; dziecko jednakowo będzie uradowane tańszym lub droższym podarunkiem, jeśli nie jest napojone zasadami próżności. Zaoszczędzone w ten sposób pieniądze użyjmy na dopomożenie biednym, w którem czynny udział niech przyjmą dzieci, *np.* w rozdawaniu kolend sierotom po ochronkach, a nawykną one zawczasu do cenienia biedniejszych i do ocierania łez nieszczęścia.

Znany chlubnie w piśmiennictwie ludowem pod pseudonimum Janka z Bielca, Jan Kanty Gregorowicz, Redaktor Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci z początkiem roku przyszłego 1875 rozpoczyna wydawnictwo książek dla ludu seryami. Pierwsza serya obejmuje trzy książeczki:

1. *Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa.*
2. *Pierwszy zbiór powieści.*
3. *Druga książeczka dla dzieci wiejskich i miejskich, także z obrazkami*: cena prenumeracyjna tej seryi wynosi rs. 1. Każdego komu znany jest stan oświaty ludu naszego i kto dba o jej polepszenie, zachęcamy do poparcia tego wydawnictwa przez zakupienie tych książeczek i rozdawanie ich tym, dla których są przeznaczone. Wydawnictwo takie, jeśli losy jego miałyby zależeć jedynie od poparcia samego ludu, niezawodnie ostaćby się nie mogło, a byłoby to zaiste lekceważeniem jawnem i dobrowolnem najżywotniejszych naszych obowiązków.

Prospekt na nowe zupełne wydanie dzieł śpiewaka Mohorta, tak wierszem jak i prozą, został już rozesłany. Wyjdą one w ośmiu dużych tomach, z których każdy zawierać będzie około trzydziestu arkuszy druku. O wartości utworów Wincentego Pola, mówić nie potrzebujemy i dlatego mamy nadzieję, że to nowe wydanie pism jego, przedsięwzięte na rzecz pozostałej po nim rodziny, pomimo niezbyt niskiej ceny (za ośm tomów rsr. 18) znajdzie liczne koło chętnych nabywców.

Pisma peryodyczne podają mnóstwo rozmaitych rzeczy, z których wiele istotnie jest dobrych i pożytecznych, a które przy ogłoszeniu ich, robią swą donioślością pewne wrażenie na czytelnikach. Wszystko to jednakże znika nie w przestworach nieba, ale głuchego zapomnienia, skutkiem braku pamięci naszej, a w części lenistwa umysłowego. Gdyby to, co uderzy nasz umysł przy czytaniu, mogło w tejże chwili być doświadczonem, możeby się i znalazł jaki dobrodziej, coby próby dokonał. Ale niejednokrotnie i parę lat czekać trzeba na tę sposobność, nic więc dziwnego, że podobna wiadomość, jak to malowniczo określa nasz język—wywietrzeje z głowy. Częstokroć przydarzonej sposobności, przemknie się niejasne wspomnienie, że to tam gdzieś, kiedyś, jakieś pisma pisały już o tem, ale gdzie ich szukać, jak wynaleść, zwłaszcza że już pisma te oddawna nieistnieją. Dawniej, ojcowie nasi posiadali na to pewny ochraniający środek. Co tylko zwróciło ich uwagę w czytaniu, co słyszeli lub widzieli godnego zajęcia, notowali natychmiast porządnie w księdze, zwanej: *Silva rerum*. Czegóż to w tych księgach nie

kim głosem burgrabiego zamkowego wołać począł: „więzienia masz, krzyknął, do lochu z nim na chleb i wodę.“

Janusz podszedł do wchodzącego: „prowadź mnie rzekł“ — poszli... wojewoda tymczasem syna tłomoki i paki podróżne rozpakować kazał; znalazł tam listy od Frydy a co gorsza od ówczesnych koryfeuszów reformy i wiele ksiąg heretyckich. Te rzucał z gniewem o ziemię i ściany wreszcie zebrane razem nieść kazał przededrzwi zamkowej kaplicy, tam drzewem je suchem obłożył, podpalił stos a sam klękłszy na progu kaplicy modlił się dopóki z owych ksiąg kacerskich popiół tylko nie został.

(*d. c. n.*)

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(List I.—Dokończenie).

Ale dosyć o tym przedmiocie, który mimowolnie nasunął mi się pod pióro. Opuszczam Salzburg, o który zawadziłem tylko mimochodem a minąwszy kilka stacyi kolei, między którémi odróżnia się Hamerau sławnemi fryszerkami, zajeżdżam już wprost do Reichenhallu pierwszego etapu na drodze suchotnika.

Cała droga od Salzburga trwa niespełna trzy kwadranse licząc w to już przesiadanie do innych wagonów w Freigassen, to jest cokolwiek mniej jak surowa rewizya przez celników bawarskich na banhofie salzburgskim dokonywana. „Celnik żaden nie wejdzie do królestwa niebieskiego” powiada pismo — zaiste podróżnych rewidowanych przez Bawarów musi niepospolicie ten wyrok na celników zachęcać do cnoty. Co do mnie, wyznaję szczerze, ani na tym ani na tamtym świecie spotkać się z nimi na nowo nie pragnę.

Reichenhall tedy, jako osada jest siedzibą około 2.000 opasłych, spokojno-flegmatycznych i ociężało-sztywnych Bawarów—to jest narodu chyba najbrzydszego na świecie a zarazem umiejącego w najmniejszej i najciaśniejszej przestrzeni, zamknąć wszelkie wymagania ciała i duszy — bo w kuflu piwa. O ludu! stokroć szczęśliwszy od konia, osła, wołu i wszelkiej rzeczy która jego jest! Koń gdy ma owies pragnie siana—osieł gdy ma osetpragnie świeżych pokosów — i wół pragnie zmiany paszy; a ty ludzie stokroć błogosławiony—piwa! piwa! i tylko piwa łakniesz.

Zresztą jak powiedziałem nie maż chyba na kuli ziemskiej brzydszych kobiet jak Bawarki a w Reichenhallu jeszcze łączy się z narodową szpetnością pospolita choroba górali—rozrośnięcie się gardła. Przytem wszystkiem jednak jestto lud pracowity i zabiegły—zgodny w pożyciu domowem—a chociaż moralność nie bardzo tu kwitnie—to jednak rzadko spotkać starego kawalera—lub kobietę niezmężną. Samo Reichenhall zewsząd otoczone górami—które bronią go od wiatrów—odznacza się nadzwyczajną zmiennnością pogody. Deszcz pada po kilka razy dziennie—ale za to oczyszcza niezmiernie powietrze i tak już nadzwyczaj czyste z powodu otoczenia górami i lasami świerkowemi.

Warunki utrzymania są nadzwyczaj przystępne i do każdej kieszeni zastosować się dadzą. Masa domków budowanych w guście szwajcarskim udziela wygodnego pomieszczenia przybyłym—a zarazem tworzy nadzwyczaj urozmaiconą, a jadnak harmonijną całość. Program kuracyi zawiera się w piciu o 6-ej rano tak zwanego mölhen (serwatka) w ogrodzie kurhausu a następnie spożyciu około 10-ej rano kieliszka Kreiter-caftu wyciśniętego z ziół alpejskich. Mówię, *spożyciu*, gdyż płyn ten jest tak gęstym, że prawie na ciało stałe wygląda, a w dodatku gorzkim, że dusza się wzdryga na wspomnienie. Zresztą najważniejszym środkiem leczniczym jest tu powietrze, którego używać należy w największej ilości. Chorzy jednak dzielą się na kategorye. Najprzód wiedzieć należy, że Reichenhall posiada wody i solankę tego rodzaju jak nasz Ciechocinek—a co zatem idzie, ważelnie i tężnie. Otóż do pierwszej kategoryi chorych należą ci którym wolno siedzieć pod tężniami. Ci mają płuca najsilniejsze a w dodatku pozycyą najdogodniejszą wobec skwaru południowego. Druga kategorya ma dozwolone bujanie po przestworzu całem z ominięciem tężni. Ci zatem robią wycieczki już to w ogrodach Reichenhallu, już w cudownych spacerach zamiejskich jak Molkenbauer, Nonnen—Schöne dunemt i t. p. Trzeci nareszcie rodzaj, najniebezpieczniejszych spędza dnie całe w lasach świerkowych Reichenhall otaczających. Oto kuracya. Zostaje najsmutniejsza rzecz o przełknięcia bo jedzenie Reichenhalskie, każdy kto się tam leczył, zachował o niem równie przyjemne wspomnienie jak o strażnikach celnych, zatem... o panu Ryczywole zamilczeć wolę. Jeżeli powiem o Reichenhallu, że ma trzy kościoły—wzorowo urządzoną warzelnię, prześlicznie wyzwirowane ulice i cudowną kanalizacyą, to zdaje się, że nie pozostanie nic do dodania do opisu miejscowości. Zato ileż typów dla Teniersa albo Dowa w tutejszych piwiarniach a nawet na ulicy, szczególniej zaś w pewne dni uroczyste. Nie myślcie jednak czytelnicy, aby uroczystością dla Bawarów było jakieś święto kościelne, lub galowe. Nie—jest to poprostu otwarcie nowej kampanii w browarze i puszczenie pierwszego transportu świeżo wyrobionego piwa. Wściciel browaru ogłasza w takim wypadku przez afisze rozlepiane po rogach: że w jego browarze, dnia tego i tego odbędzie się sprzedaż pierwszego wyrobu z tej kampanii przy dźwięku orkiestry (katarynki) i po cenie zniżonej o cały krajcar na kuflu. Trzeba widzieć co się dzieje w mieście na skutek takiego głoszenia, jaki ruch przyspieszny—jaka praca zdwojona—aby tylko mieć zapas pieniędzy na jutrzejszy festyn. W sam dzień uroczystości formalne oblężenie od rana przed ogłoszonym zakładem — po południu co krok się spotyka taczającego się z czerwonem nosem i fajką w zębach Bawara, spitego w najobrzydliwszy sposób, bo trunkiem najsmutniejsze wydającym skutki. A ileż on to wypił kufli—miły Jezu! zdaje się prawie niepodobnem, ażeby tyle płynu utonęło w jednym człowieku. Mają jednak Reichenhalczycy tę zaletę że burd nie robią a kiedy nogi stanowczo wymówią im posłuszeństwo, kładą się w pierwszem lepszem miejscu przy drodze, chrapiąc snem sprawiedliwych. Widziałem na własne oczy amatora, który był w stanie wypić przy takim festynie przez dzień cały pięćdziesiąt kilka—wyraźnie *pięćdziesiąt kilka* kufli piwa. Miał lat zaledwie dwadzieścia parę; jak na młodego kawalera—to spust wcale piękny i obiecujący.

W Reichnhallu panuje jeden jeszcze dosyć ciekawy obyczaj, ale ten już dotyczy tylko chorych odbywających kuracyą. Wiadomo powszechnie jak chorzy, szczególniej piersiowi są imaginacyjni i w jakie rozdraźnienie wprawia ich wiadomość o zaszłej śmierci któregoś z kolegów kuracyi—otóż dla uniknięcia złego wrażenia dla leczących się w tej miejscowości—dozór kąpielowy wymyślił nadzwyczaj genialny sposób, przenoszenia umarłych z domu do kościoła. Oto, ni mniej ni więcej tylko sprytni Bawarzy pakują nieboszczyka już przybranego do ostaniej podróży, w pakę od fortepianu i pod tą muzykalną powłoką tragarze niosą, niby narzędzie muzyczne, zmarłego aż do kościoła na cmentarzu, nie budząc tem samem

---

znajdzie, a wszystko zaraz na końcu w sumaryusz starannie wciągnięte, aby w razie potrzeby łajwiej się dało odszukać. Nietylko sami posiadamy jeden z takich zbiorów, ale mieliśmy sposobność przeglądać kilka podobnych książek. Obok zdań, czyli jak dawniej mówiono *sentencyi* moralnych, wypadków krajowych i zagranicznych, opisu zjawisk przyrody, długich nieraz ustępów z dzieł przeczytanych, są tam wiadomości gospodarcze, ogrodnicze, kulinarne, lecznicze i inne odpowiednie do ówczesnego stanu umiejętności.—Później z osłabienieniem cnót domowych, *Silva rerum* są rzadsze i mniejszej objętości, gnuśność umysłowa ogarniała przodków naszych coraz więcej, tak dalece, że gdy potrzeba było coś pomyśleć lub list napisać w sprawie jakiej familijno-domowej, zwożono ojca jezuitę z klasztoru, ponieważ to on, jak mówiono, najlepiej się wypisać i poradzić potrafi. Pozostawmy w pokoju tych wszystkich, co nie potrafią dwóch wyrazów z sensem i ortograficznie nakreślić, a sami korzystając z budzącego się u nas z letargu ruchu umysłowego, idźmy za nader praktycznym zwyczajem ojców naszych i na wzór ich notujemy w *Silva rerum*, to wszystko co tylko zwróci naszę uwagę, a tym sposobem zachowamy od zatracenia bardzo wiele korzystnych wiadomości, które nam pisma peryodyczne podają, i w danych wypadkach nietylko dla nas samych mogą stać się korzystnemi, a dla następców naszych będą równie drogocennym materyałem, jakim są dla nas podobne zbiory naszych poprzedników.

Przed dwoma tygodniami podaliśmy wiadomość o niektórych zmianach, jakie z nowym rokiem zajść mają w naszej prasie peryodycznej. Dzisiaj do tej wiadomości dodajemy kilka nowych szczegółów. Redakcyą *Gazety Polskiej*, poczynając od dnia 9 b. m. i r. objął pan Edward Leo; aż po tę datę, trudne obowiązki redaktora rzeczonej *Gazety* spełniał przez ostatnich lat kilkanaście p. Józef Sikorski. W redakcyi *Wieku* z dniem 1-m stycznia r. p. także zajdzie zmiana, spowodowana wstąpieniem do jej składu, pana Kazimierza Zalewskiego w charakterze współwydawcy i pomocnika głównego redaktora. Wreszcie i jeden z organów prowincyonalnych, *Kuryer Lubelski* zmienia właściciela i redaktora. Nabył go i odtąd redagować będzie pan Teofil Głębocki, któremu szczerze życzymy, aby to mocno dziś zaniedbane pisemko, potrafił uczynić istotnym wyrazem potrzeb mieszkańców Lublina i jego okolic. Podobno pan Głębocki zapewnił sobie współpracownictwo całej miejscowej inteligencyi, godzi się więc spodziewać, że *Kuryer Lubelski* wstąpi w ślady *Gazety Kieleckiej* i *Kaliszanina*, które to pisma starannie i umiejętnie redagowane oddają istotną przysługę miejscowym i okolicznym mieszkańcom.

I znowu nam dziś przychodzi mówić o bladze, gdyż gdzie się tylko upowszechni, jak w wielu miejscach zagranicą, tam w duchu narodu zagnieżdżą się: oszustwo, obłuda, kłamstwo, nadzwyczaj trudne potem do pozbycia się wady, a następstwem ich: bezsumienność, demoralizacya i upadek społeczny. Dlatego też opinia publiczna bardzo troskliwie baczyć

drażliwości przechodzących. Nie prawdaż, że środek znakomity i wart medalu? Co za szansa zostać po śmierci fortepianem!

En somme, wody Reichenhalskie są jeszcze dosyć przyjemne;—towarzystwo zbiera się różnorodne—z chorych, oprócz suchotników—są skrufuliczni i inni podlegający mniej dolegliwym słabościom—tak, że zawsze kogoś się znajdzie i czas spływa dosyć przyjemnie—gdy w dodatku Polonii masa corocznie tu zjeżdża. Z wycieczek najbardziej interesujące są do Koenigsee, Ramsau, Berchtesgaden jak również wycieczka do Heilbrun, pod Salzburgiem. Koenigsee, jestto zupełnie nasze Morskie oko: niezgłębione jezioro w górach. Dokoła piętrzą się strome skały a nad niemi wznosi się najwyższa góra tych okolic Watzman; widok to uroczy, choć groźny dla pływających lekką łódką po jeziorze. Ramsau jest małym wodospadem wśród skał, a temperatura niska tam panująca zniechęca trochę do widzenia go. Jednak rzecz warta trudu, głównie w południe w dzień pogodny—gdy słońce w tysiące zmiennych barw stroi rozhukany i pieniący się żywioł. Berchtesgaden wreszcie było rezydencyą króla Ludwika I-go, wskrzesiciela sztuk — panującego, któremu Monachium zawdzięcza nazwę Nowych Aten. O niektórych poczciwych dziwactwach tego króla będę miał sposobność wspomnieć przy opisie Nicei, gdzie w roku 1868 życie zakończył.

Zostaje Heilbrun. Dawni arcybiskupi Salzburga lubili się bawić w wolnych chwilach jak dzieci. Otóż urządzili sobie przy pałacu w Hailbrunie różne figle hydrauliczne rozprowadzając sztucznie wodę po parku. Więc jest tu najprzód piękny basen Neptuna z wodotryskami na wszystkie strony, ale gdyś stanął przy nim, aby go zbliska obejrzeć, za pokręceniem sprężyny—nad tobą również biją fontanny, krzyżowym strumieniem, tak, że wzięty między dwie wody literalnie z miejsca ruszyć się nie możesz. Takich sztuczek jest tu bez liku. Grota, w której deszcz ze wszystkich stron pada;—przestał, sądzisz ześ już bezpieczny—aż przy samem wyjściu spotyka cię na nowo. Tu prąd wody—koronę z blachy złoconej w powietrzu unosi—tam porusza całą szopkę maryonetek: więc wojsko maszeruje, rzemieślnicy pracują, biją się przekupki, przy akompaniamencie organów małego kościoła. Trudnoby wszystko to wyliczyć, choć w każdym razie ten zabytek zeszłowieczny—przekonywa o wysokim już rozwoju prac hydraulicznych i zręczności drobiazgowego wykończenia biegłych majstrów.

Drugim suchotniczym etapem moim był Meran, który wraz z podróżą do niego w następnym opiszę liście.

KILKA SŁÓW
O BOGACTWIE PŁODÓW KRAJOWYCH.

Głównym warunkiem dobrobytu ogółu mieszkańców każdej bezwarunkowo miejscowości, jest przedewszystkiem dokładne jej poznanie pod względem terytoryalnego i klimatycznego położenia, oraz wszelkich płodów przyrodniczych, tak samej tej miejscowości, jak i najbliżej niej położonych. Doświadczenie przekonywa, że rozdział bogactw naturalnych, tak pod względem ich jakości jako i ilości, jest nader rozmaity, stąd należy nam przedewszystkiem zbadać dokładnie wszelkie pierwiastki składowe w ich wzajemnem ustosunkowaniu, aby widzieć co mamy, a czego nam nie dostaje. Na tych podstawach umiejętnie rozwinięta działalność w najrozliczniejszych kierunkach ducha ludzkiego, równoważąc warunki wytworu, zamiany i spożycia, skrzętnie i gorliwie znosi materyał potrzebny do budowy bogactwa społecznego, z którego czerpie soki żywot duchowy i cały rozkwit cywilizacyi.

Wprawdzie wobec dzisiejszego rozwoju przemysłu i techniki, nawet społeczeństwom przodującym w oświacie i rozwoju ekonomicznym, dużo jeszcze brakuje żywiołów do odmalowania dokładnego w szczegółach obrazu wielkich i głównych czynników wytworu, zamiany i spożycia. Zadanie to jest jeszcze trudniejszem, gdy je przeniesiemy pod naszę rodzinną strzechę i dlatego to właśnie nasze gospodarstwo społeczne, nader skromne tylko zajmuje miejsce, wobec rozwoju bogactwa publicznego i potęgi wytworczych jego czynników innych narodów.

Porządanym jest przeto zbiór wszelkich wiadomości dotyczących statystyki rolniczej, przemysłowej, handlowej, a bardziej jeszcze usług osobistych niemateryalnych. Warunkom tym stara się uczynić zadosyć prasa perjodyczna, o ile jej na to środki rozporządzalne wystarczają, ale zbierane fakta, aczkolwiek są nader cennej doniosłości, dopóki nie zostaną zebrane w jednę organiczną całość, będą niczem więcej jak tylko drogocenną rudą, spoczywającą bezczynnie wewnętrz ziemi.—Tejże samej doniosłości jest również gromadzenie w jednę całość pojedynczych okazów wszelkich krajowych płodów przyrodniczych, jako najdzielniejszy środek zwrócenia na właściwe tory rozwoju bogactwa publicznego i potęgi wytworczych jego czynników.

Zadaniu temu powinno zadość uczynić organizujące się Muzeum przemysłowe. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przyrodnicze nasze bogactwa, są daleko mniej znane krajowcom, niż zagranicznym przemysłowcom lub specyalistom; stąd przewaga ich sił produkcyjnych i cynników wytworczych, idzie na niekorzyść naszych, gdyż zwykle musimy szukać u nich tego, co w naszym kraju w daleko lepszych znajduje się gatunkach.

Najwymowniejszym dowodem nieznajomości własnych płodów przyrodniczych, jest upadek na konkursie żniwiarki Grubińskiego, z powodu użycia do jej budowy odlewów szląskich. Tymczasem w całym kraju spoczywają bogate rudy żelazne wydające wszelkie gatunki żelaza, jak czerwone, brunatne, czarne, gliniaste, darniowe, krokidolit, lepidokrokit, piryt, pittizyt, skorodyt, kakoksen i inne.

Pod względem mineralnym, kraj nasz jest tak dalece bogatym, iż nie potrzebujemy zakupywać zagranicznych zbiorów, mając je pod ręką byle tylko wiedzieć w jakiej miejscowości poszukiwać.

Pod tym względem część płaszczyzny spływającej ze strony wschodnio-północnej karpackiego łańcucha, zamknięta między Bugiem, Narwią, Wartą, Prosną i Nidą, jest nader bogatą w rozliczne płody mineralne. Oprócz bowiem rud żelaznych, znajdują się z gromady kruszców: mangenez szary, czarny i gliniasty, ołów biały, czarny, galena, blenda. Z ród miedzianych, rodzima, szklista, szara, czarna, sadzowa, czerwona, promienista, lazurowa, zieleń, piryt i piękny malachit. Rzączyński świadczy, że za Jana III starosta Bidziński, z lazuru, wydobytego z kopalń chęcińskich, wyrobiony stolik przesłał w darze papieżowi Innocentemu XI. Znane są również płyty malachitowe szlifowane, upiększające niegdyś pokoje Króla Stanisława Augusta, pochodzące z tychże kopalń, za jenerała Soldenhofa wydobyte.

Z gromady kamieni: agat, ametyst, granat, krwawnik, chalcedon, opal, jaspis, kryształ górny, kwarc zwykły, kwarcyt, krzemień, rogowiec, kamień probierski i młyński, glina czerwona i ogniotrwała, mika, umbra, feldspat, w sobie inne zupełnie części składowe, nieodznaczające się nawet pożywnemi pierwiastkami, ale jedynie własnościami suchej dystylacyi produktów roślinnych.

---

powinna, aby się *blaga*, czyli mówiąc po polsku *bezczelne kłamstwo i oszustwo* nie rozszerzało nigdzie i każdy ich objaw potępiać śmiało i wytykać szczesze. Nie upatrujemy w tem nic złego, ani nie potępiamy żadnego indywidualnego działania, jeśli ktoś korzystając z okoliczności, zrobi sobie dobry interes w sposób godziwy, boć na to kura grzebie, aby ziarnko znalazła; nie powstajemy też przeciw takim spekulacyom, ale przeciw używanej bladze, skoro i bez niej można dobre robić interesy. Najniebezpieczniejszą jednakże i godną najsurowszego potępienia jest blaga mająca na celu wyzysk niewiadomości publicznej. Analizę chemiczną pokarmów ich równoważniki, zna zaledwie nader szczupła liczba jednostek, choć ogół cały używa ich jako środek zaspokojenia swych-potrzeb życiowych. Każdy pokarm spożyty przez człowieka, odpowiednio swym częściom składowym wywiera na organizm ludzki właściwy swój wpływ, którego litografowana obwoluta, ani różnokolorowe doniesienia i reklamy zastąpić nie potrafią. Tym sposobem i *kawa figowa* lub *Kleopatry* (sic!) nie zastąpi nigdy prawdziwej, jako zawierająca

Badaj to urodzić się szczęśliwym, bodaj to stawiać na loteryi klasycznej, (nb. u kolektora Fruchtmana), bodaj to wygrywać 75,000 rubli srebrem, ot tak przy pierwszem lepszem ciągnieniu! Chociaż złoto jest chimerą—jednak.... szczęśliwą wygranę właściciel numeru 18,714, piątej klasy 123-ej loteryi klasycznej natychmiast podjąć pośpieszył.... I niedziwmy się nawet temu *protegé* fortuny! Możemy nawet na pewnych podstawach twierdzić, że i my, piszący te słowa, to samo byśmy uczynili.... Hej, hej miły Boże co to wtedy przesnułoby się po głowie projektów, ile snów, marzeń, zachcianek.... A wszystko prawie mogłoby być urzeczywistnione.....

Wtedy niesłuchalibyśmy naprzykład germańskich deklamacyi pana Palleska, lektora księcia Oldenburskiegg, wolelibyśmy bowiem powlec się w świat gdzie łatwo spotkać sie z Rossim, Lewińskym i innymi znakomitymi reprezentantami szekspirowskich postaci....

Albo cóżby nas obchodziła jakaś Jaskółka, co dobrą wydała książeczkę dla młodszego pokolenia; czyżbyśmy zwracali uwagę na broszurę p. Jeleńskiego p. t. „Najpilniejsze potrzeby kraju" chociażby ona była przez kobiety, szukające chleba na polu drukarskiem złożoną?....

Czy smakowałby nam Wilhemj w Warszawie, kiedy w pełniejszej zagranicą sali, milej i snadniej zdumiewać się nad smyka jego siłą i energią.... Czarująca gra pani Essipow lepiej by się także wydała w jakim *Kunstvereinie*, niż tu w Resursie....

I panu Chodźce wieńców dębowych nie rzucilibyśmy wtedy z pewnością i na koncert na rzecz rodziny Zientarskiego, wkrótce do skutku przychodzący, zwlecby się nam było przytrudno...

Bazar wraz z całem najnadobniejszem gronem dam warszawskich także by nas nie znęcił...

Możemy przypuścić, iż obojętną by nam była kwestja tamy p. Daniszewskiego przez

adularya, glinka żółta, ziemia zielona, mydło górne, mleko górne, wapno pieniste, wapień marmurowy w rozlicznych odmianach i gatunkach, których kolekcya w liczbie sztuk 60, przysłana na wystawę tegoroczną w Warszawie, gromadziła liczne grupy zwiedzających między którymi wiele osób inteligentnych nawet, niedowierzało, by tak piękny ikosztowny produkt znajdował się w naszym kraju. Oprócz powyżej wymienionych, znajdują się jeszcze: kamień litograficzny, i krowiec spat wapienny, arragonit, łup wapienny, brunatny, margiel, gips, spat cięzki i bardzo wiele innych.

Roślinność nasza również nie jest ubogą, licząc przeszło 2,000 gatunków, a między niemi wiele mających zastosowanie w technice i medycynie. Na zaspokojenie jednakże potrzeb naszych, sprowadzamy je z zagranicy, zwłaszcza z Niemiec, których klimat odpowiada zupełnie naszemu klimatowi. Wyjątek stanowi jeden tylko rumianek, będący wczęści przedmiotem handlu zagranicznego. Roślina ta rośnie obficie w okolicach i na gruntach miasta Piotrkowa, gdzie służy jako naturalna pasza w porze letniej dla zwierząt domowych. Dopiero w roku 1845 przybył do miasta, jako aptekarz, Franciszek Thieme, specyalista i człowiek inteligentny. Pierwszy zwrócił na to uwagę, zachęcił do zbierania go nastręczając ludziom uboższym możność zarobkowania, kupował od nich surowy rumianek brzemionami, który następnie suszył i dostawiał materyalistom do Warszawy. Za jego przykładem poszedł drugi i trzeci kolega, którzy corocznie sprzedają go po kilkadziesiąt tysięcy funtów, nietylko materyalistom warszawskim, ale nawet częściowy import do Prus mu wyrabiają.

Ramy niniejszego pisma nie pozwalają nam szczegółowo wymienić innych roślin, rosnących dziko w kraju, a sprowadzanych z zagranicy na miejscowe potrzeby, co pochodzi wyłącznie z niewiadomości o stanie własnych bogactw naturalnych. Dokładniejsze zbadanie roślinności krajowej, otworzy nowe źródła dla rolnictwa, mianowicie zachęci do uprawy cykoryi, którą obecnie w znacznej części przyrządzają z wytłoczyn buraczanych, miasto takowe przeznaczać na karm dla inwentarzy. Wszelkie reklamy i protestacye osób interesowanych upadną wobec własności cyfr: jeśli na sześć milionów ludności przyjmiemy, że tylko szósta część zużywa dziennie na głowę po pół łuta cykoryi, wypadnie ogólna konsumcya minimum 40,000 cetnarów rocznie[1]).

Cyfra ta porównana z przywozem surowej cykorji z zagranicy i sprzętem miejscowym najwymowniej przekonywa, iż panowie fabrykanci kosztem bydła żywią ludzi. Podobnych malwersacyi moglibyśmy więcej jeszcze przytoczyć szczegółów, co jednakże odkładamy na później.

W trudnych przeto warunkach powstaje u nas Muzeum przemysłowe i aby ogół przyszedł ile można najspiesznicj do pożądanych rezultatów, należy począć zgromadzać materyały siłami zbiorowemi. Nikt jednakże nie ma obowiązku łożyć swych starań, zabiegów i kosztów, choć dla dobra ogólnego, bez zapewnienia sobie odpowiednich wzamian korzyści materyalnych. Pan Welke, o ile nam wiadomo, za wszelkie prace, zabiegi i koszta podjęte w zebraniu swych sześćdziesięciu okazów marmurów krajowych, oprócz powszechnego uznania, nietylko nie zyskał nic materyalnie, ale dołożył jeszcze z swych szczupłych funduszów. Nie znajdzie się zatem tak łatwo równie inteligentny amator, któryby własnym kosztem chciał podejmować pracę, starania i zabiegi w interesie dobra ogólnego. Kraj zaś nie ma na ten cel funduszów, któreby nawet daremnie czas jakiś obciążały niepotrzebnie budżet jego wydatków. Najwłaściwszy zatem środek, kolekcye podobne wystawiać na widok publiczny, za stosunkowo małą opłatą pobieraną od zwiedzających, a fundusz stąd zebrany obracać na wynagrodzenia wystawców i koszta analizy dokonywać się mającej dla wykrycia pierwiastków składowych produkowanych okazów.

Punktem tej działalności powinna być Warszawy, jako ogniskująca przeważnie w swem łonie obok sił intelektualnych, przemysłowe i handlowe.—Zanim jednakże Muzeum przemysłowe zorganizowanem zostanie, ludzie dobrej chęci i woli w interesie bogactwa publicznego, powinni zająć się gromadzeniem podobnych kolekcyi, posłużyć mogących za przedwstępne przygotowania dla instytucyi, tyle dla ogółu obiecującej rzeczywistych a nie urojonych korzyści.

I. L. K.

[1]) Wykazana ilość spożycia cykoryi, jest nader małą; jeśli bowiem uwzględnimy tą okoliczność, że cała ludność żydowska i reprezentująca żywioł germański, używa co rano na śniadanie, a w znacznej części i na wieczerzę odwaru cykoryi z dodatkiem mleka, chleba żytniego, bułek pszennych lub gotowanych kartofli, liczba ta powiększy się przynajmniej w dwójnasób.

DZIAŁALNOŚĆ KOBIETY

w kuchni, kółku domowem i salonie.

RADY PRAKTYCZNE

dla młodych żon i panien,

streszczone z dziełka

MARYI CALM.

(Dalszy ciąg)

Otóż życzylibyśmy, ażeby mniej było osób kaleczących nam uszy, a więcej—prawdziwie dobrze grających. Prawdziwe ukształcenie muzykalne można tylko osięgnąć ucząc się teoryi muzyki, która to gałęź mało jest rozpowszechnioną. Rodzicom i nauczycielom, zdaje się, że kiedy uczennica posiada dużo mechanizmu—i potrafi biegle zrobić tryl, to już ma talent dosyć rozwinięty, a nie pojmują tego, że tryl dobrze zagrany, nie jest dostatecznym; że do poprawnego grania, potrzeba jeszcze choć trochę znać też gramatykę muzykalną powszechnie nazywaną nauką harmonii, lub kontrabasu.

Od panienki prawdziwie utalentowanej wymagają rodzice nauczyciele, i całe kółko domowych przyjaciół, ażeby się z grą swoją produkowała. Od 10-tego do 12-go roku życia, dziecię wożone, na wszystkie zebrenia, popisuje się ze swym talentem. Całe towarzystwo sili się na komplementa, matka tryumfuje, a przyszła artystka, z początku przelękniona i zakłopotana, przyzwyczaja się do pochwał i uwielbień a w końcu nawet liczy na nie. W 16-ym lub 17-ym roku, skończywszy nauki szkolne zapomina o książce, powraca z zapałem do fortepianu i zaczyna się wtedy mozolna praca, nad którą spędza najmniej, po 4 godziny dziennie, a której celem jest zbieranie pochwał, kokieterya, i chęć zajęcia pewnego stanowiska w salonie.

Oto, cośmy mieli o muzyce do powiedzenia, przejdźmy teraz do drugiej gałęzi sztuk pięknych, która tak mało jest w użyciu, iż grozi nawet zupełnym upadkiem, to jest do rysunku i malarstwa.

Rysunek mniej pracy wymaga niż muzyka, i nie tyle co ona pochłania czasu. Jest to jedno z najprzyjemniejszych zajęć w chwilach wolnych, mające tę wyższość nad muzyką, że nikomu nie przeszkadza.

różne pisma różnie przedstawiana. Co nam do tego czy stoi, czy wisi, czy pływa!...

Z filozoficznym spokojem przyjęlibyśmy także wiadomość o założeniu zwierzyńca, mnóstwem dzikiej bestyi napełnionego lub szkoły rzezbiarskiej pod kierunkiem p. Cypryana Godebskiego...

I nie wzruszyłyby nas projekty założenia w Ciechocinku instytutu leczniczego dla nieletnich panienek lub łazinek nieruchomych na Wiśle...

Prawdopodobnie nie potoczylibyśmy się nawet na koncert panny Więckowskiej, jak kolwiek ta ma być utalentowaną fortepianistką, lub na przedstawienie trupy signora Ciaffei!...

A wiecie dlaczego? Bo pieniądz w kieszeni naszej dziwną jakąś siłą zwraca nas zagranicę, bo tam z lada szlachecką sumką zwykliśmy się włóczyć, by złoto roztrwonić i wrócić chudo, kuso z marzeniem—o nowej wygranej.

Ludzie przez naukę, majątek lub znaczenie wyższe stanowisko w społeczeństwie zajmujący, ludzie zamożni mogą korzystać ze wszelkiego rodzaju rozrywek; mając środki odpowiednie mogą z łatwością wynaleść przyjemną dla siebie zabawę.

Mamy tedy gwoli tej zabawy w adwencie koncerty, w karnawał uczęszczamy na bale, maskarady, tańcujące herbatki, a w poście słuchamy z uwagą odczytów. Klasy średnie, rzemieślnicy, ludzie pracujący fizycznie, z tego rodzaju rozrywek korzystać nie mogą, nie odpowiadają one ich wymaganiom, a przedewszystkiem są dla nich zadrogie. Mówiono i pisano już wiele o resursie dla rzemieślników, ale projekt i zamiary spoczęły gdzieś głęboko.

Rzemieślnicy wprawdzie sami mogliby własnemi siłami projekt ten w rzeczywistość wprowadzić, ale mniemamy, że i ludzie wyższe stanowisko zajmujący mogliby wiele bardzo zdziałać. Gdy się wesoło bawimy, nie zapominajmy o rozrywce innych.

Gdy numer ten rąk waszych, czytelnicy, dojdzie wielu z was zapewne wybierać się będzie do Bazaru, urządzonego w Salach Redatowych staraniem Towarzystwa Dobroczynności. Spieszcie jak najliczniej, zakupujcie jak najwięcej przedmiotów (notabene przedewszystkiem pożytecznych), bo przez to powiększycie fundusz na otarcie łez sierotom, polepszenie losu nieszczęśliwych, których potrzeby zima powiększyła. Jeżeli już chcecie dziatki wasze opatrzeć na gwiazdkę podarkiem, to jest jak zwykle się praktykuje, zabawką, kupujcie ją w Bazarze, bo tym sposobem nabycie to połączycie z dobrym uczynkiem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Tomaszowi Krzywiec w Nowoaleksandrowsku. —Wszystkie numery były wysłane—jeżeli *zaginęły*, nie nasza w tem wina, N-ra 4, 6 i 8 wysyłamy powtórnie. Według zakomunikowanej nam listy prenumeratorów, którzy przedpłatę wnieśli na ręce byłego Wydawcy i Redaktora p. Korpaczewskiego, wysyłać panu będziemy *Ognisko Domowe* do końca miesiąca marca roku przyszłego.

Trzy są rodzaje rysunku: rysowanie deseni, krajobrazów i głów i malarstwo. Najpierwszy rodzaj jest najpraktyczniejszy i mogący się zastosować do każdej roboty. Rysowanie krajobrazów też jest pożyteczne, szczególniej w podróżach, najmniej korzystnem jest rysowanie kwiatów i głów a jednak jakie śliczne podarunki, można ofiarowywać, malując ładny kwiat, ptaka, lub kopią z jakiej pięknej głowy, na porcelanie, kości słoniowej, lub alabastrze; tym bardziej takie podarunki są cenione, że rzadko kto je otrzymuje z powodu wyżej wymienionego, iż mała liczba kobiet, nad rysunkiem pracuje.

We Francyi i Anglii, założono już przed dawnemi czasy, szkoły rysunku, Niemcy poszły za tym przykładem dlaczegóżby i u nas, cóś podobnego nie dało się zaprowadzić? Zyskalibyśmy na tem wiele, a szczególniej wykształcanie zaniedbanych talentów w klasie niższej, przyczyniłoby się bardzo, do podwyższenia w niej moralności, ą krajowi dostarczyłoby znaczną liczbę, zdatnych rąk, które pożyteczną zajmując się pracą, przyczyniłyby się do powiększenia miejscowej produkcyi galenteryjnych wyrobów i zmniejszenia tym sposobem zagranicznego ich importu.

Wreszcie, notujemy fakt nad którym się tu bliżej zastanawiać nie będziemy, że panie nasze nader mało zajmują się sztuką, zarówno piękną jak pożyteczną—jaką jest: snycerstwo i wyrzynanie na drzewie, kości i t. p. A jednak tego rodzaju przedmioty jak ramki, pudełka, pulpity, szafki, etażerki i t. d. ładnie i zręcznie z drzewa wyrobione, nietylko przyjemnym bywają podarkiem ale i zbyt korzystny zaleść mogą. Praca, zwłaszcza przy wyrzynaniu, nie jest ani ciężką, ani trudną i wymaga tylko dobrych chęci i delikatności, który to przymiot panie nasze w wysokim posiadają stopniu.

V. Gościnność.

Tak jak ranek do południa, jest przeznaczonym na roboty gospodarskie, tak godziny wieczorne upływają nam najczęściej w gronie znajomych i przyjaciół. Tn właśnie powinniśmy praktykować cnotę gościnności.

Rozpatrzmy bliżej tę kwestyą, dotyczącą wszystkich stanów.

Pokój bawialny, jest jednym z nowszych wynalazków, dawniej przodkowie nasi przyjmowali gości, tam, gdzie się gospodarzy znalazło. Teraz rzecz się dzieje inczej — gość wprowadzony ceremonialnie do salonu, zabiera miejsce na kanapie, rozmowa zaczyna się od komplementów, a kończy na obgadywanie bliźnich. Jeżeli gość przyszedłszy w porze obiadowej, siedzi trochę dłużej, pani domu stara się go pozbyć i dopóty mu to okazuje, dopóki gość nie spostrzeże jej nieukontentowania; wtedy powstaje ze swego miejsca, bierze kapelusz i wynosi się co żywo, a pani oddycha swobodnie.

Prawdziwa gościnność, ustępuje nieraz miejsca cywilizacyi zimnej, egoistycznej, niszczącej węzły towarzyskie wystudzającej serca, nakazującej zajmować się tylko sobą samym. „Ja" ma pierwszeństwo nad wszystkiem, co drogie i święte.... lecz nie odchodźmy od naszego przedmiotu.

Otóż cnotę gościnności bardzo szeroko praktykowały dawniej ludy słowiańskie. Gość, gdy wchodził na próg domu przyjęty bywał z otwartością i uprzejmością, bez różnicy, czy wszedł do chaty słomą krytej, lub do pałacu bogatego obywatela. Zapraszano go i dzielono się z nim tem co Bóg dał, z prostotą i szczerością. Alež przerwą mi oburzone gospodynie, nie możemy przecież ciągle gości przyjmować, środki nasze na to nie wystarczają..... Prawda, ciągle gości mieć nie można, ale mogdybyście panie przyjmować często małym kosztem głybyście, nie chciały się piąć nad wasz stan i położenie w świecie i nie chciały koniecznie naśladować bogatszych od was znajomych. Stare przysłowie mówi: „Wedle stawu grobla." Pamiętając o niem nie wydawałybyście tak często strojnych rautów, sutych wieczorów i świetnych balów.

(D. c. n.)

Przeznaczenia.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg).

Jak długo tak leżał, sam nie wiedział lecz zimno, jakiego doznał w sukniach przemokłych i wśród chłodu nocnego, wróciło mu przytomność. Wzmocniony odpoczynkiem i wspomnieniem niebezpieczeństwa minionego, oraz tego, w jakiem się znajdował w tem miejscu nawet, zerwał się narówne nogi. Na brzegu też pozostać nie mógł, poszedł przeto między pagórki i tam dopiero zaczął osuszać swe suknie. Zrzucił je ze siebie, wyżął wszystko staranie, potem włożył trzewiki, które na pokładzie był wsunął sobie za pas i bez myśli i celu począł uciekać, w chęci jedynie oddalenia się od morza.

Drogę teraz o tyle miał znośną, że świecił księżyc i że złatwością wyszedł na gościniec, który, jak się zdawało, w kierunku północno wschodnim prowadził do miasta. Szedł tak do świtu, potem wszakże i tu nie sądził się być dosyć bezpiecznym i zwrócił się znów na lewo. Około południa wreszcie natrafił na maleńką stacyjkę, gdzie mógł dostać co jeść, gdyż i ciało upominało się o swe prawa. Mieszkał tam Chileńczyk, z którym atoli niemógł się porozumieć. Wprawdzie uczył się był wszkołach trochę po niemiecku, ale po hiszpańsku nie umiał nic. Udało mu się jednak wyrazić, że mu się jeść chce, to zaś wystarczyło, że go przyjęli serdecznie i z całą gościnnością. Szczególniej smakowało mu i posiliło go doskonałe wino tutejsze, a gdy przy pożegnaniu wziął się za kieszeń i na migi zapytał, co winien mieszkańcy rozgniewali się, że obcy śmie im ofiarować zapłatę za przyjęcie. Naglili go też, by jeszcze dłużej unich unich zabawił, a przynajmniej dzień jeden z nimi przepędził; ale było mu pilno. Zobawy, żeby go nie śledzili i nie gonili za nim ludzie okrętowi, nie odważył się nawet zapytać tam o drogę do Concepcion. Skoro tylko wyszedł z tego domku, zboczył umyślnie z gościńca i poszedł dalej w kierunku ku północy.

Na takiej wędrówce zeszło mu dwa dni. W końcu na stacyi niemieckiej dowiedział się, że obszedł już port miasta Concepcion, co skłoniło go do zebrania dokładnysh wiadomości i powzięcia stanowczego planu co do najbliższej przyszłości.

W Concepcion, jak mu mówili Niemcy, nie było konsula amerykańskiego, mieszkał on w Valparaiso. Do tego ostatniego miejsca co miesiąc odchodziły parowce, oprócz tego częste bywały sposobności dostania się tam na małych statkach żaglowych. Parowce przybywały tu w końcu każdego miesiąca, jeden spodziewany był mniej więcej za dziesięć dni; należał do towarzystwa angielskiego, a tem samem nie było obawy, że z pokładu wyda kogokolwiek okrętowi amerykańskiemu, zajętemu połowem wielorybów. Przybywszy zaś do Valparaiso, mówiono dalej, będzie pod opieką swojego konsula tak samo bezpieczny, jak w Nowym Yorku. Z Valparaiso parowiec zwyczajny prędko zawiezie go do Panamy, a z Aspinwall, codzień będzie miał sposobność odpłynięcia do jednego lub drugiego z portów w Stanach Zjednoczonych.

Przez czas, jaki jeszcze do odejścia parowca pozostawał, Jerzy mógłby był czuć się tu spokojnym i szczęśliwym, tu bowiem nie potrzebował obawiać się zdrady, i był podejmowany w domu wcale nie jak obcy, ale jak syn rodzony.

Pomimo to był blady i zamyślony; ciążyło mu coś na sercu, jakby przeczucie nadciągającego nieszczęścia. Prawie nic nie jadał, mówił tylko kiedy był pytany, i podobnym był raczej do tego, co świeżo ciężką przebył chorobę, aniżeli do człowieka wolnego, który cudem wybawionym został z pod hańbiącego jarzma. Nie zważając jednak na to, wszyscy go tam kochali, gdyż w rysach jego młodzieńczych, jakkolwiek boleścią przejętych, było coś dziwnie zacnego i szlachetnego, a duże jego czarne oczy odrazu zjednywały mu wszystkich.

Szczególniej zajmowały się nim w tym domu kobiety: żona i dwie córki *fermera*, które wkrótce odgadły, że mu dolega tajemna jakaś troska miłosna. Pragnęły dowiedzieć się czegoś bliższego, by módz radzić i pocieszać; prośby ich jednak w tym względzie bezskutecznie obijały się o jego uszy. Jerzy pozostał skrytym i zamkniętym w sobie, a smutek po jego twarzy rozlany trwał ciągle. Zmałemi dziećmi tylko chętnie wdawał się w pogawędki, najmłodsze z nich nosił po ogrodzie, wyszukiwał dlań kwiatów w lesie i w ogólności był grzecznym dla wszystkich.

Tak go tam wszyscy polubili, że gdy nadszedł wreszcie dzień odjazdu, żeńska część rodziny zalewała się łzami, jak dzieci. O zapłacie znów ani myśleć nie chcieli, wyrzucali mu, jak mógł chcieć to uczynić, gdy zaś zapisywał sobie ich adres, powiedziała mu jedna z córek domu, że co do nich, *one* wcale nie potrzebują zapisywać jego nazwiska, bo *one* go nazawsze żywo zachowają w pamięci.

Do Concepion, o trzy mile stąd odległego, przyjechał w samą porę, skoro bowiem przybył tylko, spostrzegł, jak oczekiwany parowiec szybko zbliżał się od południa. By załatwić niektóre konieczne sprawunki pozostał z godzinę jeszcze w tej mieścinie. Trochę bielizny już sobie był zakupił w jednym ze sklepów będących po drodze. Kazał się też ogolić i kupił sobie nowy kapelusz, to go tak bardzo zmieniło, iż nie lękał się już, żeby go poznano, gdyby nawet kapitan z *Betsy-Crow* aż do tego miejsca był wysłał za nim w pogoń.

Zresztą natychmiast, skoro tylko wsiadł na parowiec, udał się do kajuty, gdzieby go z pewnością nie szukano, gdy zaś statek po dwu godzinnym pobycie w Concepcion w dalszą wyruszył drogę, Jerzy poszedł do kontrolera i oddał mu wzastaw swój pierścień brylantowy na pewność, że zapłaci za podróż w Valparaiso – ponieważ nie miał już dosyć na ten cel pieniędzy.

Teraz dopiero czuł się prawdziwie ocalonym i wolnym od wszelkich możliwych prześladowań. Był swobodny, jak ptak w powietrzu, a jednak uśmiech nie zagościł na jego ustach. Jakkolwiek dzielnie dotychczas walczył z losem i niebezpieczeństwem w tej

chwili przecież cała jego odwaga młodzieńcza zdawała się złamaną. Nawet kiedy po dość szybkiej i szczęśliwej drodze stanęli w Valparaiso, sam jeden, nie mówiąc nic do nikogo na małej łódce opuścił statek, potem zaś wszedł do miasta i zatrzymał się w pierwszym lepszym hotelu, jaki mu wskazano.

IX. Odnaleziony przyjaciel.

Przybywszy do hotelu, gdzie spoglądano na niego trochę z niedowierzaniem, z powodu ubioru prostego majtka, jaki miał na sobie, najsamprzód zapytał o parowiec odchodzący do Panamy. Odpowiedź była zadowalająca: parowiec ten miał nadejść za pięć dni, po trzydniowym zaś pobycie, a zatem mniej więcej za dni osiem powrócić do Lima, skąd przez Peru dopływał zwykle do międzymorza. Tym sposobem miał jeszcze czas zabawić w Valparaiso tydzień cały. Czasu tego użył przedewszystkiem na wyszukanie kupca, z którym firma jego dawniej w bardzo ożywionych pozostawała stosunkach, celem pożyczenia sobie pieniędzy na powrót do kraju. Znał dokładnie nazwisko i zapytał gospodarza hotelowego jedynie o ulicę, na której kupiec ów mieszkał. Gospodarz jednak udzielił mu wiadomości wcale nie miłej.

Staruszek ten umarł przed siedmiu miesiącami, a rodzina jego przeniosła się napowrót do Stanów Zjednoczonych. Interes jego został zlikwidowany, drugi zaś wspólnik mieszkał obecnie w St. Thomas. Dopiero zeszłego miesiąca sprzedano resztę towarów przez publiczną licytacyą, a lokal zajęty został przez jakiegoś przemysłowca francuskiego.

Jerzy uczuł się nader niemile dotkniętym tą nowiną, gdyż nie znał już nikogo w tem wielkiem mieście. Po chwili przecież, świadomy siły ducha swego, postanowił radzić sobie i w tem położeniu. Pozostawało mu jeszcze odwołać się do pomocy posła czy konsula amerykańskiego, gdyby mu zaś ten odmówił, mógłby stąd śpiesznie i bezpośrednio dać o sobie wiadomość swojej Jenny i rodzinie a do nadejścia odpowiedzi albo pozostać w hotelu, albo w pocie czoła pracować na chleb powszedni. Myślał, że skoro tylko Jenny otrzyma wiarogodną o nim wiadomość uspokoi się z pewnością; wszak oboje byli jeszcze tak młodzi, a krótki czas rozłąki i próby przyniesie może skutki zbawienne.

Gotując się do walki ze wszystkiem, coby go spotkać mogło najgorszego, poczuł się zarazem lepszym i silniejszym na duchu.

O ile smutny i złamany prawie przybył do Valparaiso, o tyle swobodniej teraz spoglądał wokoło, a choć jeszcze dawna tęsknota ciężyła mu na sercu—zmuszony jednak do ciągłego, samodzielnego działania, oddawać się jej nie miał czasu.

Jeszcze jedno niepokoiło go—pierścień bryllantowy, droga pamiątka, którą zostawił na statku. Ale i na to była rada—bo przecież to nie było wątpliwem, że w każdym razie tyle mógł tu zarobić, wiele na wykupienie zastawu było potrzeba.

Chodziło więc teraz przedewszystkiem o wyszukanie konsula amerykańskiego. Ten, jeśli będzie znał rodzinę Jerzego, pewnie pomocy mu nie odmówi; w przeciwnym razie postanowił nie zniżać się do prośb. Tyle jeszcze miał pieniędzy wiele się należało za dotychczasowy pobyt w hotelu—potem zaś zamierzał wyprawić list i wynaleść sobie pracę w mieście lub okolicy—gotów był zgodzić się za prostego parobka.

Prędko odszukał mieszkanie konsula, piękny, dwupiętrowy dom wpobliżu wybrzeża, ze wspaniałym widokiem na przystań. I tu jednak spotkało go rozczarowanie. Jak bowiem dowiedział się od służącego Chileńczyka, który mówił łamanym angielskim językiem, Sennor wyjechał do Santiago i miał wrócić dopiero za dwa lub trzy dni.

— A jak się nazywa konsul?“

Służący wymienił jakieś nazwisko—ale z powodu dyalektu hiszpańskiego do tego stopnia przekręcone, iż niepodobna było zrozumieć jego znaczenia.

— A czy w biórze nie ma nikogo, do kogo możnaby się udać. Czy nie ma tam Amerykanina?

— *Como no*, odrzekł służący, *hay*, *hay americano*—wskazując na drzwi parterowe, na których Jerzy spostrzegł szyldzik z napisem *„office.“* W każdem razie spodziewał się zastać tam sekretarza amerykańskiego, a choć wiedział, że ten ostatni sam nic mu nie pomoże, był wszelako pewny, że potrafi od niego zasięgnąć bliższych wiadomości o samym konsulu. Nie namyślając się przeto długo, zbliżył się do drzwi, zapukał i usłyszawszy z wewnętrz wołanie *walk in*, wszedł do pokoju.

Przy biórku siedział młody człowiek pilnie zajęty leżącą przed nim korespondencyą. Kiedy Jerzy wszedł, nie obejrzał się nawet, lecz najspokojniej kończył list rozpoczęty. Skończywszy, podniósł wzrok, a widząc przed sobą majtka, rzekł:

— Co pan sobie życzysz, przyjacielu?

— Przychodzę z zapytaniem tylko, odpowiedział Jerzy, gdyż prawdziwy mój interes osobiście przedstawię konsulowi. Czy wolno zapytać pana, jak się nazywa konsul i skąd pochodzi? Nie mogę zrozumieć chileńskiego służącego.

Młody sekretarz, który z początku przelotne tylko na Jerzego rzucił spojrzenie, teraz odwrócił się do niego i badawczo spoglądał to na twarz, to na ubiór jego. Zdawało się, że nie dosłyszał pytania, bo nic nań nie odpowiedział— w końcu wstał z krzesła, a przystępując do Jerzego, rzekł nierównie grzeczniej, jak przedtem:

— Czy wolno spytać o nazwisko pańskie?“

Jerzy nie był przygotowany na to pytanie i przez chwilę zwlekał z odpowiedzią: tu jednak, gdzie szukał pomocy u konsula, nie wolno mu było zataić prawdziwego swego nazwiska. Powiedział przeto:

— Halay.

— Wszak nie Jerzy Halay z Nowego Jorku?“ zawołał sekretarz ze zdumieniem spoglądając na niego.

— Jerzy Halay—bez kwestyi—ale pan?

— Czy mnie już nie znasz, Jerzy? Ryszard Burton z Charleston? Czy pamiętasz Nowy Orlean?

— Dick [1]), jak Boga kocham! zawołał Jerzy, podając mu rękę i ściskając go serdecznie. Doprawdy, nie poznałem cię.

— A ja ciebie odrazu za pierwszem spojrzeniem. Ależ, człowieku, jakże wyglądasz? Skąd się tu wziąłeś? Czyś chorował? Wszak nie masz w twarzy ani kropli krwi.

— Czym chorował? Nie, rzekł Jerzy, z boleśnym uśmiechem—skąd się wziąłem?—Dużo o tem mówić—opowiem ci to kiedyindziej.

— Teraz odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: czyś był niedawno w New—Jorku?

— W New—Jorku?—Nie, odrzekł młodzieniec nie byłem w New Jorku od ostatniego spotkania naszego, kiedyśmy razem wyjechali do Nowego Orleanu.

— Więc i konsul nie jest z Nowego—Jorku?

— Owszem; ale ja byłem przy konsulacie w St. Thomas i tam otrzymałem polecenie udania się do poselstwa tutejszego—z St. Thomas więc wprost przez Aspinwal przyjechałem tutaj. Nie byłem w Stanach Zjednoczonych od trzech lat. A kiedyżeś, ty je opuścił?

(d. c. n.)

1) Dick—w skróceniu zamiast Ryszard.

ROZMAITOŚCI.

Odwieczne nasiona. — Czasopismo francuskie „La Nature” podaje zajmujące szczegóły i ryciny osobliwej rośliny (rodzaj grochu) której nasienie przechowało się tysiące lat w mumiach egipskich. Uczony jenerał Anderson zajmując się poszukiwaniem starożytnych zabytków w Egipcie, znalazł w sarkofagu odwiecznego grobowca kilka ziarn tej rośliny, które następnie zasiane wydały plon. Łodyga jej wyrasta wysoko, a kwiat dziwnej świeżości koloru białego lub różowego; cienka od spodu łodyga coraz wyżej grubieje tak, iż ją podpierać trzeba, strączki zaś wyrastają przy samym dopiero wierzchołku.

Trujące mleko. –Gazety niemieckie zwracają uwagę na to, iż w mleku które wystawione jest przez długi czas na działanie promieni słonecznych, tworzy się trucizna, tak iż używanie takiego mleka spowodować może otrucie.

Amatorskte kradzieże.—Dzienniki zagraniczne donoszą iż sławne arcydzieło Murilla Ś-ty Antoni Padewski znajdującee się w katedrze Sewilskiej, zostało skradzione W tym czasie również przepadła bez wieści z biblioteki kolegium Ś-tej Trócy w Londynie, najdawniejsza ze znanych dotąd książek, pisana w r. 475 przez Ś-go Kolumbana, ozdobiona wspaniałemi rycinami, jeden z najpiękniejszych okazów sztuki kaligraficznej u Irlandczyków, ceniony na 300,000 franków. Za wskazanie sprawców tych kradzieży wyznaczono znaczne nagrody.

OD REDAKCYI.

W pierwszym kwartale roku przyszłego 1875 *Tygodnik* **Ognisko Domowe**, wychodzić będzie jak dotąd, raz na tydzień t. j. co piątek, bez zmiany dotychczasowego programu i ceny. Poczynając od dnia 1 stycznia r. p. objętość naszego Tygodnika znacznie zostanie powiększoną przez dołączanie w miarę potrzeby *półarkuszowych* **bezpłatnych dodatków**, które później, przy szerszym rozwoju pisma, dołączane będą stale *do każdego numeru*. To powiększenie liczby łamów **Ogniska Domowego**, ułatwi Redakcyi możność, dokładnego wypełnienia zapowiedzianego w pierwotnym prospekcie programu.

Rychłe spełnienie naszych zamiarów, zależeć będzie od przyjęcia, jakiego one doznają od czytającej publiczności.

Numer 14 **Ogniska Domowego**, który będzie pierwszym w roku 1875, wyjdzie w sam dzień Nowego-Roku, z tego więc powodu dla możności uregulowania ekspedycyi i nienarażenia PP. Prenumeratorów na przerwę lub zwłokę w odbiorze numerów upraszamy *o wczesne nadsyłanie przedpłaty* adresując wprost do Redakcyi: **Ulica Bielańska Nr. 8 w Warszawie.**

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**